

## HUGON LASECKI

Lubię tam wracać;

gdzie węże są długie,  
gdzie skowronki zrozpaczone,  
gdzie myszołów uwija się wśród gniazd ptasich,  
gdzie puszczyk śpiewa nocą,  
gdzie się pszczoły roją,  
gdzie szerszenie umierają w boju,  
gdzie trawy są duże  
i gęsi niebieskie przemierzają ciszę,  
gdzie kamienie, co słyszą pacierze dziecięta,  
gdzie wody ciurkają  
i melodię grają świerszcze,  
a horyzont przemieszcza się we śnie,  
gdzie roślinie róża wśród oceanu chwastów –  
biała,  
nieskalana,  
podarowana.  
Lubię tam wracać –  
do wszystkich tych światów.

Kiedy wjeżdżało się do wsi,  
stały kozy.  
Kiedy wyjeżdżało się ze wsi  
stały kozy.  
Kozy były Szafletów i Ranów.  
Ranowe kozy były szczupłe,  
nasłuchiwały czy jedzie listonosz  
z papierkami.  
Lubiły przewracać gazetę wargami.  
Lubiły czytać, potem zjadać gazetę.  
Szafletów kozy były tłustsze.  
Pasły się w głębszym rowie,  
od czasu do czasu skubnęły kapustę  
z polećka Frana, resztki siana u Plewana.  
Plewan nie lubił Cyganów  
co doili kozy po kryjomu dla dzieci.  
Dzieci miały smutne oczy.  
Czekały za płotem.

Oddycham wodą.  
Obok ważka wtłoczona w błoto.  
Dzwony czekające na koncertowanie  
w pustyni śniegu.  
Pielgrzymi schowani w białej śmierci.  
Strach.  
Cienie tych, których zgasił huragan  
na wieczność.  
Wierność czekająca na zmartwychwstanie,  
gotowa do lotu.  
Cisza.  
Nasłuchiwanie.

Na scenie wystąpili:  
mama,  
tata,  
czas, który minął,  
czterej panowie z łopatą,  
kilku przyjaciół,  
i trochę deszczu,  
w chwili, gdy pies kwilił,  
kiedy chowano  
brata.

Ktoś jest w lesie.  
Ktoś jest w katedrze.  
Ktoś jest światłem.  
Ktoś jest na krawędzi.  
Ktoś jest schowany głęboko, najgłębiej  
w sobie.  
Przed tym z lasu, tym z katedry  
przed światłem, choćby najjaśniejszym, wysłanym stamtąd.  
Z czwartego wymiaru  
do niekochającej matki  
dalekiej,  
niestety.

Uwaga!  
Rabują skrawek nieba.  
Słońce ucieka w przeciwną stronę.  
Pędzi Andromeda w czasy Ramzesa.  
Gwiazda Polarna niepewna przygasa.  
Księżyc już tylko nad jednym miastem  
trzyma straż.  
Tam, gdzie obraz Fra Angelika  
zwiastuje Pannie,  
że ma się stać.  
Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam –  
gaśnie słońce  
i księżyc zgaśnie  
za chwilę.

Pozostawiam rany.  
Paluchem pisane peany.  
Myśli kruche i ślady sine,  
na sercu, których nawet Bóg  
nie widzi, gdy ono wysyła promienie  
na krańce czasu i przestrzeni.  
Cisza zmierza donikąd.  
Zostaje pamięć kamieni.

Jestem dymem,  
trochę zapachem,  
trochę piekłem,  
trochę Niebem  
i dźwiękiem, który zanika.  
Złożyłem podanie o życie.  
Cisza.

Żyźne doliny,  
skały czerwone,  
orla spadanie,  
fiolety zauroczone  
spragnione poznania,  
Góry Rabsala,  
gdzie źródła rzeki Mekong  
istnieją po wieki wieków.

Serce, co zgodnie wybijają  
mózgu zlecenie,  
zawodzi,  
gdy umierają marzenia  
i gdy pytamy o sens istnienia.

Oczy, z których łza ocieka  
a święte kochanie człowieka  
je ociera.  
Na tulenie czeka drżenie,  
które wicki istnieje  
jak rzeka,  
jak łaska nieba  
i wichrów skomlenie od wieków  
psa zmiłowania czeka.

Między piątą godziną  
piątego dnia  
brudnego miesiąca  
dostarczono  
osiem desek sklejonych w testament.  
Poduszkę wyścielaną  
różańcem  
znalezionym w kałuży  
i tysiąc kropel co były łzami.  
Na pożegnanie.

Bóg stworzył brzeg i deszcz  
i brzeg nieukończony,  
i rząd takich samych drzew,  
i sąd ostatni.

Stara dwunastoletnia kobieta  
przedtem ważna, kochana,  
wymieniona na nowszy model  
między niedzielą a środą,  
z popiołu wyjęta.  
Na chwilę  
do końca  
świata

Zwędzili sznur.  
Zwędzili trochę tęczy.  
Zwędzili modlitwę o wieczny spokój.  
Sznur jak struna zabrzączy  
w nocy świętej.

Obraz w kałuży, której niebo  
uczyniło podarek,  
raz zwężyła, raz wydłużyła  
nieskończoność zmarszczek  
i czas, co kałużę niebawem  
osuszy.

Requiem dla kropli,  
co w ulewie zgubiona  
spadła na skałę,  
stercząca po niebo  
zuchwale.

Ukradli łopatę do kwiatów  
i posadzenia sosny.  
Sosna miała rosnąć do końca świata.  
w zaświaty.  
Smukła,  
nieskalana,  
dumna,  
niezależna,  
nieklęcząca.  
Niestety.

Silniejsza od strachu  
jest chęć poznania  
czym jest konanie  
dla zmartwychwstania



Pragnę tyle Nieba ile trzeba,  
by żyć wiecznie  
i ostatecznie wrócić,  
kiedy psa skomlenie  
usłyszę na ziemi.

Padając  
skrawek Nieba ujrzałem,  
skrawek ziemi  
i obiecany zapach  
życia.

Wygrzewał się na skrawku ziemi  
między kałużą a okapem  
w nadziei, że słońce jego jesień zamieni  
na rumianku zapach –  
w długie lato  
do odlotu ptaków  
i następnych nadziei  
na ogrzany skrawek ziemi.

Zachłapanie czerwienią Niebo  
wczoraj nasyczone błękitem  
i bielą o świcie  
znika w kałuży obliczu  
i łąki zieleni.

Rysuję paluchem na piachu  
mapę marzeń:  
o bitwach, porwanych księżniczkach,  
okoponych korsarzach,  
pomyślonych wyspach,  
szczypcie wiatrów pomyślnych,  
gdzie tatuaze piszą baję  
tysiąca i jednej nocy Hawajów,  
gdzie słońce wschodzi dwa razy w nocy  
i jeden raz w obiecany  
raju.

Układa się długo na barłogu z poduch,  
by za chwilę pobiegać we śnie  
po drodze z kości usłanej  
i stada baranów zaganiać  
na obrzeża łąki zielonej,  
na skraj oddechu  
szybkiego jak światło

Wyszedł na spacer z psem.  
Był wieczór.  
Miał chore serce.  
Pies był stary.  
Latarnie rzucały cień.  
Chłodniej było w cieniu.  
Lżej na sercu.